



BERNARD

Cornwell

WOJNY
WIKINGÓW
TOM IX



WOJOWNICY
BURZY



B E R N A R D
Cornwell

WOJOWNICY
BURZY

TEUMACZENIE
JAKUB JEDLIŃSKI



OTWARTE

KRAKÓW 2019

Tytuł oryginału: Warriors of the Storm

Copyright © Bernard Cornwell 2015

Copyright for this edition © Wydawnictwo Otwarte 2019

Copyright © for the translation by Jakub Jedliński

Opracowanie tłumaczenia: Emilia Rydzewska

Wydawca prowadzący: Olga Orzeł-Wargskog, Monika Rossiter

Redaktor prowadzący: Anna Małocha

Opracowanie typograficzne książki: Daniel Malak

Adiustacja, korekta i łamanie: d2d.pl

Projekt okładki i wyklejek: Eliza Luty

ISBN 978-83-7515-565-5



www.otwarte.eu

Dystrybucja: SIW Znak. Zapraszamy na www.znak.com.pl

CZĘŚĆ PIERWSZA

RZEKA W PŁOMIENIACH

ROZDZIAŁ PIERWSZY

W nocy wybuchł pożar. Ogień wypalał niebo i pozbawiał gwiazdy blasku. Gęsty dym kłębił się nad pasem ziem między rzekami.

Obudził mnie Finan.

– Kłopoty – powiedział tylko.

Eadith poruszyła się, a ja odepchnąłem ją od siebie.

– Zostań tu – rozkazałem i wygrzebałem się spod baranich skór.

Sięgnąłem po pelerynę ze skóry niedźwiedzia i zarzuciwszy ją na ramiona, ruszyłem za Finanem ulicą. Noc była bezksiężycowa, tylko płomienie odbijały się od ogromnego całunu dymu, który nocny wiatr niósł w głąb łądu.

– Będziemy potrzebowali więcej ludzi na murach – rzekłem.

– Już zrobione – odparł Finan.

Pozostało mi więc tylko rzucanie przekleństw. Zatem kląłem.

– To Brunanburh – stwierdził posępnie Finan, a ja znów zakląłem.

Ludzie zbierali się na głównej ulicy Ceasteru. Nadeszła Eadith otulona obszerną peleryną. W jej rudych włosach odbijało się światło pochodni płonących na drzwiach kościoła.

– Co się dzieje? – zapytała zaspanym głosem.

– Brunanburh – odpowiedział ponuro Finan.

Eadith się przeżegnała. Mignęło mi jej nagie ciało, kiedy wysunęła rękę spod płaszcza, żeby dotknąć czoła, chwilę później znów ciasno owinęła brzuch ciężką wełnianą peleryną.

– Loki! – Wymówiłem to imię na głos. – To bóg ognia, cokolwiek chrześcijanie twierdziliby na ten temat. A Loki jest najbardziej szczwanym z bogów, oszustem, który rzuca na nas czar, zdradza, sprowadza na manowce i rani. Ogień to obusieczna broń. Może nas ogrzewać, osuszać, służyć nam do gotowania, ale też nas zabija. – Dotknąłem kościanego młota Thora, który nosiłem na szyi. – Aethelstan tam jest – powiedziałem.

– Jeśli jeszcze żyje – odparł Finan.

W ciemnościach nic nie można było zrobić. Brunanburh znajdował się w odległości co najmniej dwóch godzin jazdy konnej, a w nocy podróż mogła trwać jeszcze dłużej, musielibyśmy bowiem przedzierać się przez las i prawdopodobnie wpadlibyśmy w pułapkę zastawioną przez ludzi, którzy podpalili burh. Mogłem jedynie czuwać na murach Ceasteru, na wypadek gdyby o świcie wróg nas zaatakował.

Nie obawiałem się tego ataku. Ceaster wzniesli Rzymianie i była to najpotężniejsza warownia w Brytanii. Norwegowie musieliby pokonać wypełnioną wodą fosę i oprzeć drabiny o wysokie kamienne obwarowania, a oni nigdy nie lubili oblegać fortecy. Jednak Brunanburh płonął, któż więc mógł wiedzieć, co przyniesie świt? Gród wybudowała rządząca Mercją Aethelflaed, strzegł on rzeki Maerse, która stanowiła dla Norwegów dogodną drogę w głąb Brytanii. Dawniej na rzece panował gorączkowy rejdach, wiosła zanurzały się w jej wodach, a łodzie o dziobach ozdobionych głową smoka pruły fale pod prąd, wioząc wojowników na niekończące się walki między Norwegami a Sasami, ale Brunanburh zatamował ten

ruch. Zaokrętowaliśmy w pobliżu tego grodu flotę dwunastu łodzi, których załogi strzegły potężne wały z drewnianych belek, a Norwegowie przekonali się, że należy się ich obawiać. Odtąd, jeśli przybijali do zachodniego wybrzeża Brytanii, udawali się do Walii albo gdzieś do Kumbrii, dzikiego kraju leżącego na północ od Maerse.

Tej nocy stało się jednak inaczej. Tej nocy płonęło wybrzeże Maerse.

– Ubierz się – powiedziałem do Eadith. – Dzisiaj już nie pośpimy.

Eadith dotknęła wysadzanego szmaragdami krzyża na szyi.

– Aethelstan – szepnęła, jakby się za niego modliła, dotykając palcami krzyża. Bardzo się do niego przywiązała.

– Żyje albo zginął – rzuciłem szorstko. – Nie dowiemy się tego przed świtem.

Wyruszyliśmy, zanim zaczęło dnieć, do brzasku jechaliśmy na północ, podążając brukowaną drogą biegnącą przez rzymskie cmentarzysko. Zabrałem ze sobą sześćdziesięciu ludzi, wszyscy dosiadali szybkich, lekkich wierzchowców, żebyśmy mogli uciec, gdy natkniemy się na przeważające siły norweskie. Przodem wysłałem zwiadowców, ale ponieważ się spieszyliśmy, nie było czasu na zwykłą ostrożność, czyli oczekiwanie na ich meldunek przed wyruszeniem w drogę. Tym razem naszym ostrzeżeniem miała być śmierć zwiadowców. Opuściliśmy rzymski trakt, żeby podążać ścieżką wyciętą w lesie. Z zachodu nadeszły chmury i zaczęło mżyć, ale przed nami nadal unosił się słup dymu. Deszcz mógłby ugasić pożar wzniesiony przez Lokiego, ale nie mżawka, dym więc tylko nas zwodził i wabił.

Później wyjechaliśmy z lasu w miejscu, gdzie łąki zmieniały się w mokradła, a mokradła łączyły się z rzeką. I tam, daleko

na zachód, na srebrnoszarej polaci wody ujrzeliśmy flotę. Dwadzieścia-trzydzieści łodzi, może więcej – nie sposób było dokładnie określić, ponieważ zostały zakotwiczone blisko siebie, ale nawet z daleka byłem w stanie dostrzec, że ich dzioby ozdabiały norweskie bestie: smoki, węże, wilki i orły.

– Słodki Jezu – powiedział z przerażeniem Finan.

Pędziliśmy ścieżką wydeptaną przez bydło i wijącą się wzdłuż wzniesienia na południowym brzegu rzeki. Jechaliśmy pod wiatr, którego nagle podmuchy falowały powierzchnię Maerse. Nadal nie mogliśmy dostrzec Brunanburh, ponieważ warownia leżała za wzgórzem porośniętym lasem, ale nagły ruch na granicy kniei zdradził obecność ludzi, moi dwaj zwiadowcy zawrócili więc konie i pocwałowali w naszą stronę. Ktokolwiek ich zaniepokoił, zniknął wśród gęstego wiosennego listowia, a chwilę później pośród szarej mgły ponuro zabrzmiał róg.

– To nie warownia się pali – stwierdził z wahaniem Finan.

Zamiast mu odpowiedzieć, skręciłem ze ścieżki w głąb łądu na porośle bujną trawą pastwisko. Zwiadowcy zbliżali się do nas, spod kopyt ich wierzchowców leciały grudy wilgotnej darni.

– Za drzewami są ludzie, panie! – krzyknął jeden z nich. – Co najmniej dwudziestu, może więcej!

– Są gotowi do bitwy – dodał drugi.

– Gotowi do bitwy? – zdziwił się Finan.

– Tarcze, hełmy, broń – wyjaśnił zwiadowca.

Poprowadziłem swoich wojowników na południe. Pas młodego lasu tworzył barierę między nami a Brunanburh i jeśli wrogowie na nas czekali, z pewnością zaczęli się na tej ścieżce. Podążając traktem, ryzykowaliśmy, że wjedziemy prosto na mur tarcz ukryty między drzewami, natomiast wjechanie

w głąb łądu zmuszało przeciwnika do wykonania ruchu, złamania szyku, dlatego spałem konia i ruszyłem galopem. Z lewej strony nadjechał mój syn.

– To nie warownia się pali! – krzyknął.

Dym stawał się coraz rzadszy, nadal jednak unosił się za koronami drzew, a szara smuga mieszała się z niskimi chmurami. Wydawało się, że idzie od rzeki, i zacząłem podejrzewać, iż mój syn i Finan mają rację, twierdząc, że to nie warowania płonie – raczej łodzie. Ale jak wrogowie dotarli do floty? Gdyby zrobili to za dnia, obrońcy fortecy zauważyliby okręty z załogą, a walka w nocy wydawała się niemożliwa. Maerse była płytką rzeką o błotnistych brzegach i żaden szyper nie mógł nawet marzyć o wpłynięciu w bezkسیężycową noc tak daleko w głąb łądu.

– To nie warownia! – krzyknął ponownie Uhtred.

Wołał pogodnym głosem, jakby to była dobra wiadomość, ja jednak obawiałem się, że forteca upadła i teraz jej potężne wały chronią zgrają Norwegów. Czemu mieliby palić miejsce, które byli w stanie bez trudu obronić?

Teren się wznosił. Nie widziałem wśród drzew żadnych wrogów. Czy to znaczyło, że ich tu nie ma? Jak liczni są najeźdźcy? Trzydzieści łodzi? Taka liczba z łatwością może pomieścić tysiąc wojowników, i ci ludzie musieli wiedzieć, że nadjedziemy z Ceasteru. Gdybym był ich wodzem, czekałbym tuż za tymi drzewami. Ta myśl podpowiadała mi, że powinienem zwolnić i wysłać przodem zwiadowców. Zamiast to zrobić, pogałem jednak wierzchowca. Na plecach wiozłem tarczę, nie zdjęłem jej z ramion, tylko poluzowałem Oddech Węża w pochwie. Byłem wściekły i przez to nieostrożny, ale intuicja mówiła mi, że wróg nie czeka na nas za lasem. Może napastnicy zaczaili się na drodze, ale marsz w głąb łądu

pozostawiłby im niewiele czasu na utworzenie muru tarcz na wyżynie. Pas drzew nadal zasłaniał mi widok na to, co się za nimi kryło, zawróciłem więc konia i znów pojechałem na zachód. Zagłębiałem się w listowie, uchylałem przed gałęziami, pozwalałem wierzchowcowi wybierać drogę między drzewami, a kiedy wyjechaliśmy z lasu, ściągnąłem cugle, zwolniłem, rozejrzałem się i zatrzymałem.

Nikogo nie dostrzegłem.

Moi ludzie przedarli się przez zarośla.

– Bogu dzięki – powiedział Finan.

Warownia pozostała niezdojta. Sztandar z białym koniem Mercji nadal powiewał nad wałami, lopotała też opatrzona godłem z gęsią flaga Aethelflaed. Na obwarowaniach widniała też trzecia chorągiew, którą rozkazałem wykonać kobietom z Ceasteru. Znajdował się na niej smok Wessexu trzymający w uniesionej łapie płonący belt. Było to godło księcia Aethelstana. Chłopiec prosił, żeby na jego sztandarze umieścić chrześcijański krzyż, ja jednak kazałem wyhaftować płonący grot kuszy.

Nazywałem Aethelstana chłopcem, ale on był już mężczyzną, miał czternaście albo piętnaście lat. Wyrósł, a doświadczenie ukróciło jego dziecięce figle. Niektórzy życzyli sobie jego śmierci, chłopak był tego świadom, więc jego oczy nabrały czujnego wyrazu. Był też przystojny – tak przynajmniej twierdziła Eadith – uważne szare oczy osadzone były w wyrazistej twarzy otoczonej kruczoczarnymi włosami. Nazywałem go księciem Aethelstanem, tymczasem ludzie pragnący jego śmierci mówili o nim „bękart”.

I wielu uwierzyło w ich kłamstwa. Matka Aethelstana, ładna dziewczyna z Kentu, zmarła, wydając go na świat, ale jego ojcem był Edward, syn króla Alfreda, a obecnie władca

Wessexu. Edward tymczasem wziął sobie za żonę zachodniosaską kobietę i spłodził drugiego syna, co sprawiło, że Aethelstan stał się niewygodny, tym bardziej iż rozniosła się plotka, że wcale nie jest bękartem, ponieważ jego ojciec potajemnie ożenił się z dziewczyną z Kentu. Nie miało znaczenia, czy ta pogłoska jest prawdziwa – choć ja miałem dobry powód, by wierzyć, że historia o pierwszym małżeństwie nie została wymyślona – bo dla wielu osób w Wessexie Aethelstan był niechcianym synem. W przeciwieństwie do innych dzieci Edwarda nie dorastał w Wintanceasterze, lecz został wysłany do Mercji. Edward uznał chłopca, ale go ignorował i po prawdzie Aethelstan stanowił dla niego kłopot. Był on najstarszym synem króla, aethelingiem, ale miał młodszego przyrodniego brata, którego mściwa matka pragnęła śmierci Aethelstana, gdyż stał między jej synem a tronem Wessexu. Ja jednak lubiłem Aethelstana. Lubiłem go na tyle, by chcieć, żeby zasiadł na tronie, który należał mu się z urodzenia. Przyszły król musi jednak najpierw nauczyć się męskich zadań, dlatego oddałem mu dowództwo nad warownią i flotą w Brunanburh.

A teraz straciliśmy flotę. Została spalona. Kadłuby dymiły za zgliszczami przystani, której wzniesienie zajęło nam rok. Wbiliśmy wiązowe paliki głęboko w podłoże i wybudowaliśmy pomost wybiegający poza linię odpływu, tworząc nadbrzeże, przy którym stały na cumie łodzie w rynsztunku wojennym. Teraz przystań przestała istnieć, razem z pięknymi okrętami o wysokich dziobach. Cztery z nich woda wyrzuciła poza linię odpływu i nadal się tliły, z pozostałych zachowały się tylko wypalone wręgi leżące na płyciźnie, a przy końcu pomostu znajdowały się trzy łodzie z dziobem ozdobionym głową smoka przycumowane do zwęglonych palów. Za nimi stało kolejnych pięć okrętów, których załogi wykorzystywały wiosła

do utrzymywania kadłubów wbrew przeciwnemu prądowi rzecznemu i odpływowi. Reszta wrogiej floty rzuciła kotwicę w odległości pół mili w górę rzeki.

Na brzegu, między nami a spaloną przystanią, dostrzegłem ludzi. Mężczyzn w kolczugach i hełmach, uzbrojonych w tarcze, włócznie i miecze. Było ich może dwustu, spędzili nieliczne bydło, które udało im się znaleźć, i gnali je ku wybrzeżu, gdzie zwierzęta zarzynano, żeby ich mięso załadować na łodzie. Rzuciłem okiem w stronę warowni. Aethelstan dowodził stu pięćdziesięcioma ludźmi, widziałem, że zebrali się na wałach, ale nic nie robili, żeby przeszkodzić wrogowi w odwrocie.

– Zabijmy kilku tych drani – powiedziałem.

– Panie? – odezwał się Finan, zaniepokojony przewagą liczebną nieprzyjaciela.

– Uciekną – odparłem. – Chcą bezpiecznie dotrzeć do swoich łodzi, nie mają zamiaru walczyć na lądzie.

Wyciągnąłem Oddech Węża z pochwy. Norwegowie na wybrzeżu poruszali się pieszo i byli rozproszeni. Większość przebywała w pobliżu znajdującego się przy lądzie spalonego krańca pomostu, gdzie mogła szybko uformować mur tarcz, ale kilkunastu zmagало się z bydłem. Ich wzięłem sobie na cel.

Byłem wściekły. Dowodziłem garnizonem w Ceasterze, a załoga Brunanburh stanowiła jego część. Gród był oddaloną warownią, został zaatakowany z zaskoczenia, a jego flota spalona. Ja zaś byłem rozsierdzony. Od świtu pragnąłem krwi. Ucałowałem rękę Oddechu Węża i spałem konia ostrogami. Popędziliśmy cwałem w dół łagodnego zbocza z uniesionymi mieczami i włóczniami. Plułem sobie w brodę, że nie zabrałem ze sobą włócznie, ale było już za późno na żale. Ludzie zajmujący się bydłem dostrzegli nas i próbowali

uciec, ale znajdowali się na podmokłym terenie, zwierzęta wpadły w panikę, a kopyta naszych wierzchowców ciężko były w mokrą od rosy darń. Największa grupa nieprzyjaciół formowała mur tarcz w miejscu, gdzie zwęglone pozostałości pomostu sięgały suchego łądu, ale ja nie miałem zamiaru toczyć z nimi walki.

– Bierzcie jeńców! – wrzasnąłem do swoich wojowników. – Bierzcie jeńców!

Jedna z norweskich łodzi ruszyła w stronę plaży, żeby wesprzeć ludzi na brzegu lub umożliwić im ucieczkę. Tysiąc białych ptaków zerwało się z szarej wody, nawołując i skrzeczając, krążyły nad pastwiskiem, na którym nieprzyjaciele ustawiali się w mur tarcz. Zobaczyłem sztandar nad połączonymi tarczami, ale nie miałem czasu, żeby mu się przyjrzeć, bo mój wierzchowiec jak burza przeciął drogę, zjechał ze skarpy i pokonał nadbrzeże.

– Bierzcie jeńców! – zawołałem jeszcze raz.

Minąłem zarżniętego wołu, którego gęsta ciemna krew zmieszała się z błotem. Zwierzę właśnie ubito, ale rzeźnicy uciekli na nasz widok. Chwilę później znalazłem się między tymi zbiegami i użyłem płazu miecza, żeby powalić jednego z mężczyzn na ziemię. Zawróciłem. Mój koń pośliznął się na błocie, cofnął się i kiedy upadał, wykorzystałem ciężar jego ciała do wbicia Oddechu Węża w piersi drugiego człowieka. Ostrze wyszło mu przez plecy, krew zabulgotała w ustach, a ja spiąłem ogiera ostrogami, żeby uwolnić masywne ostrze z ciała umierającego mężczyzny. Finan mnie minął, po chwili ujrzałem cwałującego Uhtreda, który pochylony w siodle nisko trzymał Dziób Kruka, żeby wbić jego brzeszczot w plecy uciekającego wroga. Norweg o dzikim spojrzeniu zamachnął się na mnie toporem, ale ja bez trudu uniknąłem ciosu. W tym

momencie włócznia Berga Skallagrimmrsona przebiła jego plecy, przeszła przez wnętrzności i od strony brzucha ukazał się jej jasny, umazany krwią grot. Berg walczył bez hełmu, w jego jasne, długie jak u kobiety włosy wplecione były drobne kostki i wstążki. Wyszczerył do mnie zęby, puszczałając jesionowe drzewce i dobywając miecza.

- Zniszczyłem jego kolczugę, panie!
- Bierz jeńców, Bergu!
- Najpierw pozabijam jeszcze trochę tych lajdaków, dobrze?

I odjechał, nadal się szczerząc. Był norweskim wojownikiem, miał osiemnaście-dziewiętnaście lat, ale już zdążył być wioślarzem załogi, która dopłynęła do przylądka Horn na wyspie ognia i lodu, leżącej na odległym krańcu Atlantyku. Walczył też w Irlandii, Szkocji, Walii. Opowiadał także o wyprawach łodziami w głąb porośniętych brzoźowymi lasami ziem, które, jak twierdził, rozciągają się na wschód od terenów Norwegów. Mówił, że żyją tam lodowe olbrzymy i wilki wielkie jak ogiery. „Powiniennem być po tysiącokroć umrzeć” – wyznał mi, ale przeżył, bo darowałem mu życie. Został moim człowiekiem, złożył mi przysięgę i służąc mi, jednym ciosem ściał głowę uciekającemu najeźdźcy.

- Ha! – krzyknął w moją stronę. – Dobrze naostrzyłem miecz!

Finan znalazł się dostatecznie blisko wody, żeby wojownik ze zbliżającej się łodzi cisnął w jego stronę włócznią. Broń wbiła się w błoto, a Irlandczyk lekceważąco pochylił się w siodle, chwycił drzewce i podjechał do krwawiącego w błocie mężczyzny. Obejrzał się w stronę łodzi, by mieć pewność, że członkowie jej załogi dobrze widzą, co robi, i podniósł broń, żeby zatopić ją w brzuchu wojownika. Później jednak, ku mojemu zaskoczeniu, odrzucił włócznię. Zsiadł z konia

i ukląkł przy rannym, przez chwilę z nim rozmawiał, a potem wstał.

– Jeńcy! – zawołał. – Potrzebujemy jeńców!

Z warowni rozległ się dźwięk rogu, kiedy się odwróciłem, zobaczyłem ludzi wylewających się przez bramę Brunanburh. Nadchodzili z tarczami, włóczniami i mieczami, gotowi do uformowania muru tarcz, który zepchnąłby formacje wroga do rzeki, najeźdźcy byli jednak już gotowi do wycofania się i nie potrzebowali pomocy z naszej strony. Brodząc w wodzie, mijali zwęglone pale i okrążali dymiące się łodzie, żeby dotrzeć na pokład najbliższego okrętu. Zbliżający się statek stanął, uderzając wiosłami o pływającą. Jego załoga nie miała ochoty zmierzyć się z moimi ludźmi, którzy obrzucali wrogów obelgami i czekali na nich na brzegu z obnażonymi mieczami i skrwawionymi włóczniami. Kolejni najeźdźcy ruszyli w pław w stronę łodzi o dziobach w kształcie smoczycich głów.

– Zostawcie ich! – krzyknąłem.

O świcie pragnąłem krwi, ale dokonanie rzezi grupki mężczyzn na mieliźnie Maerse nie mogło przynieść nam żadnej korzyści, a wiązało się z ryzykiem, że stracę dziesiątki ludzi. Główna flota wroga, która musiała wieźć setki wojowników, płynęła już w górę rzeki. Żeby ją osłabić, musiałbym zabić tych kilkuset mężczyzn, a nie zaledwie garstkę.

Załogi najbliższych łodzi obrzucały nas obelgami. Patrzyłem na mężczyzn wciąganych na pokład i zastanawiałem się, skąd nadpłynęła ta flota. Od lat nie widziałem tylu norweskich okrętów. Podjechałem do granicy wody. Jakiś człowiek cisnął we mnie włócznią, ale nie poleciała zbyt daleko, umyślnie schowałem miecz do pochwy, żeby zademonstrować przeciwnikowi, że uważam walkę za zakończoną, i zobaczyłem, jak mężczyzna z siwą brodą daje kuksańca młodszemu,

który zamierzał rzucić kolejną włócznię. Kiwnąłem głową w stronę siwobrodego, a on w odpowiedzi podniósł dłoń.

Kim więc byli? Jeńcy wkrótce mieli nam to wyjawić. Wzięliśmy do niewoli około dwudziestu mężczyzn, których moi ludzie odzierali z kolczug, hełmów i kosztowności. Finan znów klęczał obok rannego wojownika i z nim rozmawiał. Skierowałem konia w ich stronę, a potem zatrzymałem się w zdumieniu, bo Irlandczyk wstał i obsikał jeńca, który bezsilnie uderzał dręczyciela dłonią w rękawicy.

– Finan?! – zawołałem.

Zignorował mnie. Mówił do wojownika po irlandzku, a ten odpowiadał mu gniewnie w tym samym języku. Finan rozeźmiał się, odniosłem wrażenie, że przeklina mężczyznę. Bezlitośnie, zdecydowanie intonował słowa, trzymając dłoń o rozcapierzonych palcach nad jego mokrą od moczu twarzą, jakby rzucał na niego urok. Uznałem, że cokolwiek się dzieje, nie jest to moja sprawa, i obejrzałem się w stronę łodzi znajdujących się na odległym krańcu spalonego nadbrzeża. Dokładnie w tym momencie chorąży nieprzyjaciela wdrapał się na pokład ostatniego okrętu o wyniosłym dziobie. Mężczyzna ubrany był w kolczugę i z trudem czepiał się burty, do czasu aż oddał chorągiew i wyciągnął obie ręce, żeby dwaj towarzysze wciągnęli go na pokład. Rozpoznałem ten sztandar i ledwie byłem w stanie uwierzyć własnym oczom.

Haesten?

Haesten.

Gdyby na tym świecie miał pozostać tylko jeden bezwartościowy, zdradziecki, obślizły ludzki wypierdek, byłby to Haesten. Znałem go przez całe życie. Darowałem mu jego

nędzny żywot, a on złożył mi przysięgę wierności, objął rękę Oddechu Węża i łkał rzewnymi łzami z wdzięczności, przysięgając, że będzie moim wasalem, aby mnie bronić i mi służyć, a w zamian otrzyma ode mnie złoto i lojalność. Zaledwie po kilku miesiącach złamał przysięgę i zbrojnie wystąpił przeciwko mnie. Zawarł pokój z Alfredem i tego układu też nie dotrzymał. Poprowadził wojska, żeby złupić Wessex i Mercję, aż w końcu pod Beamfleot przyparłem jego ludzi do muru, a tamtejsze potoki i moczary pociemniały od ich krwi. Wypełniliśmy rowy jego martwymi wojownikami, a kruki tego dnia miały ucztę, ale Haestenowi udało się zbiec. Zawsze mu się udawało. Stracił wojsko, ale pozostał przebiegły i ponownie się zjawił, tym razem służąc Sigurdowi Thorrsonowi i Kanutowi Ranulfsonowi. Obaj zginęli w bitwie, ale Haestenowi znów udało się umknąć śmierci.

Teraz wrócił, jego godłem była biaława czaszka zatknięta na palu. Kpił ze mnie z najbliższej łodzi, która właśnie oddalała się od brzegu. Wojownicy na pokładzie obrzucali mnie wyzwiskami, a chorąży wymachiwał flagą z czaszką. Za tą łodzią znajdował się większy okręt, na którego dziobie widniał olbrzymi smok o wysoko zadartym, wypełnionym zębiskami łbie. Na rufie dostrzegłem mężczyźną w płaszczu i srebrnym hełmie zwieńczonym skrzydłami kruka. Zdjął hełm i skłonił się przede mną kpiąco. Wtedy rozpoznałem Haestena. Śmiał się. Spalił moją flotę i ukradł kilka krów, ale dla niego było to wystarczające zwycięstwo. Nie był to rewanż za klęskę pod Beamfleot, musiałby zabić mnie i wszystkich moich ludzi, żeby wyrównać krwawe porachunki, ale zrobił z nas głupców i otworzył Maerse przed olbrzymią norweską flotą, która płynęła w górę rzeki, flotą wrogów przybyłych, aby podbić nasze ziemie dowodził właśnie Haesten.

- Jakim cudem taki łajdak jak Haesten prowadzi tylu ludzi? - zapytałem na głos.

- Nie jest ich dowódcą.

Mój syn wprowadził konia na mieliznę i zatrzymał się obok mnie.

- Nie?

- Dowodzi nimi Ragnall Ivarson.

Nic nie odpowiedziałem, ale po plecach przeszły mi ciarki. Znałem to imię, wszystkim nam było ono znane, wzbudzało strach wokół całego Morza Irlandzkiego. Był Norwegiem, który sam siebie nazywał Królem Morza, bo jego włości obejmowały terytoria, gdzie nieokiełznane fale rozbijały się o skały lub piasek. Władał wodami, w których pływają foki i nad którymi latają maskonury, miejscami, w których dmie wichur i rozbijają się statki, gdzie mróz kęsa niczym nóż, a w ciemnościach słychać zawodzenie dusz topielców. Jego ludzie zajęli dzikie wyspy u wybrzeży Szkocji, dawali się we znaki mieszkańcom irlandzkiego wybrzeża oraz zmieniali w niewolników ludność Walii i wyspy Mann. To królestwo nie miało granic, bo gdy wróg stawał się zbyt silny, ludzie Ragnalla wsiadali do długich łodzi i żeglowali do innego dzikiego wybrzeża. Złupili nadmorskie tereny Wessexu, zabierając ze sobą niewolników oraz bydło. Dopłynęli nawet do Saefern i zagrozili Gleawecestre, ale mury tej warowni ich odstraszyły. Ragnall Ivarson. Nigdy go nie spotkałem, ale go znałem. Znałem sławę, która go otaczała. Nikt lepiej od niego nie żeglował, nikt nie walczył równie zaciekłe jak on, nikt nie budził równie wielkiego przerażenia. Był brutalem, piratem, dzikim władcą pustkowi, a moja córka Stiorra poślubiła jego brata.

- Haesten złożył przysięgę Ragnallowi - ciągnął Uhtred. Spojrzał na oddalającą się łódź. - Ragnall Ivarson. - Nie

odrywał oczu od floty. – Porzucił ziemie w Irlandii. Powiedział swoim ludziom, że los w zamian dał mu Brytanię.

Haesten nic nie znaczy – pomyślałem. – Jest szczurem, który sprzymierzył się z wilkiem, sponiewieranym wróblem czepiającym się orlego skrzydła.

– Ragnall porzucił ziemie w Irlandii? – zdziwiłem się.

– Tak twierdzą ci ludzie. – Mój syn wskazał na jeńców.

Odchrząknąłem. Niewiele wiedziałem o tym, co dzieje się w Irlandii, ale w ciągu ostatnich kilku lat nadchodziły stamtąd wieści o Norwegach wypieranych z tych terytoriów. Morze przemierzały łodzie z wojownikami ocalałymi z ciężkich walk, a ci, którzy pragnęli zdobyć ziemię w Irlandii, teraz szukali jej na wybrzeżach Kumbrii i Walii, a niekiedy nawet dalej – w Neustrii i kraju Franków.

– Ragnall jest potężny – zauważyłem. – Dlaczegoż miałby wycofać się z Irlandii?

– Bo Irlandczycy go do tego przekonali.

– Przekonali?

Uhtred wzruszył ramionami.

– Mają czarowników. Chrześcijańskich czarowników, którzy czytają w przyszłości. Ogłosili, że Ragnall zostanie królem całej Brytanii, jeśli opuści Irlandię, i dali mu ludzi, by mu w tym pomogli. – Skinął na flotę. – W tych łodziach podróżuje stu irlandzkich wojowników.

– Król całej Brytanii?

– Tak powiedział jeniec.

Splunąłem. Ragnall nie był pierwszym człowiekiem, który marzył o zapanowaniu nad całą wyspą.

– Ilu ma wojowników? – zapytałem.

– Tysiąc dwustu.

– Jesteś tego pewien?

Mój syn się uśmiechnął.

– Twoje nauki nie poszły w las, ojczec.

– Jakie nauki?

– Że ostrze włóczni w wątrobie jeńca to bardzo przekonujący argument.

Patrzyłem na ostatnie łodzie płynące na wschód. Wkrótce miały mi zniknąć z oczu.

– Beadwulfie! – zawołałem.

Był to drobny, żyłasty człowieczek, którego twarz na duńską modłę ozdabiała tatuowane linie, choć był on Sasem. Należał do moich najlepszych zwiadowców i potrafił jak duch przejść przez niczym nieosłoniętą ląkę. Wskazałem głową na znikające łodzie.

– Weź dwunastu ludzi i popłynij za tymi łajdakami. Chcę wiedzieć, dokąd przybiją – powiedziałem.

– Tak, panie – odparł i się odwrócił.

– I, Beadwulfie! – zawołałem, a on spojrział na mnie. – Postaraj się rozpoznać chorągwie na łodziach. Wypatruj czerwonego topora. Jeśli dojrzysz czerwony topór, chcę o tym wiedzieć, natychmiast!

– Czerwony topór, panie – powtórzył i szybko odjechał.

Czerwony topór był godłem Sigtryggra Ivarsona, męża mojej córki. Ludzie nazywają go teraz Jednookim, bo wylupilem mu mieczem prawe oko. Napadł na Ceaster, ale został odparty, jednak wycofując się, zabrał ze sobą Stiorrę. Nie była jego jeńcem, lecz kochanką, i co jakiś czas dochodziły do mnie słuchy na jej temat. Mieli ze Sigtryggrem ziemię w Irlandii. Pisała do mnie listy, bo kazałem nauczyć ją pisać i czytać. „Jeździśmy konno po plaży i przez wzgórze – napisała. – Tu jest pięknie. Oni nas nienawidzą”. Miała córkę, moje pierwsze wnuczę, której dała na imię Gisela, po swojej matce. „Gisela

jest piękna, a irlandzcy księża nas przekleli – pisała w liście. – Kocham to miejsce. Mój mąż przesyła ci pozdrowienia”.

Ludzie zawsze twierdzili, że Sigtryggr jest groźniejszym z braci. Mówiono, że jest mądrzejszy od Ragnalla, a jego biegłość w posługiwaniu się mieczem obrosła legendą, ostatnio jednak – czy to z powodu utraty oka, czy też małżeństwa – się ustatkował. Plotka głosiła, że Sigtryggr zadowala się uprawą ziemi, łowieniem ryb w morzu i obroną swoich włości. Czy byłby jednak równie zadowolony, gdyby jego starszy brat zajął Brytanię? Dlatego właśnie kazałem Beadwulfowi wypatrywać czerwonego topora. Chciałem wiedzieć, czy mąż mojej córki stał się moim wrogiem.

Książę Aethelstan odnalazł mnie, kiedy ostatni statek najeźdźców zniknął mi z oczu. Przybył z kilkoma towarzyszami, wszyscy dosiadali potężnych ogierów.

– Panie! – zawołał. – Przykro mi!

Machnąłem ręką, żeby go uciszyć, bo moją uwagę ponownie przykuł Finan. Gniewnie wypowiadał potoki słów do leżącego rannego mężczyzny, a ten nie pozostawał mu dłużny. Nie musiałem ani trochę znać dziwnego irlandzkiego języka, żeby wiedzieć, że obrzucają się wyzwiskami. Rzadko miałem okazję widzieć Finana równie wściekłego. Pluł, gardłował, intonował słowa ciężkie jak uderzenia młotem. Ciskał je w rannego przeciwnika, który pod wpływem tego ataku zdawał się jeszcze bardziej opadać z sił. Zdumieni ich gniewem ludzie gapili się, a po chwili Irlandczyk obrócił się i chwycił leżącą obok włócznię. Wrócił do swojej ofiary, znów wylał z siebie potok słów i dotknął krzyża wiszącego na jego szyi. Później, niczym ksiądz podnoszący hostię, uniósł włócznię w obu dłoniach z grotem skierowanym w dół i przemówił po angielsku. „Boże, wybacz mi” – powiedział.

Po tych słowach mocno uderzył włócznią w dół, krzycząc z wysiłku, który włożył, żeby przebić kolczugę oraz kości i dotrzeć ostrzem do serca. Mężczyznę szarpnęła spazm, z ust trysnęła mu krew, jego ręce i nogi przez kilka sekund uderzały o ziemię, po czym umarł. Leżał z otwartymi ustami, przygwożdżony do brzegu włócznią, która przez jego serce sięgnęła do ziemi.

Finan szlochał.

Skierowałem wierzchowca w jego stronę. Zatrzymałem się obok i dotknąłem ramienia Irlandczyka. Był moim przyjacielem, najstarszym przyjacielem, który walczył u mego boku w setkach murów tarcz.

– Finanie? – zapytałem, ale nie spojrzał na mnie. – Finanie! – powtórzyłem.

Tym razem zwrócił twarz w moją stronę, po jego policzkach płynęły łzy, a w oczach ujrzałem rozpacz.

– To chyba był mój syn – odezwał się.

– Kto to był? – zapytałem w osłupieniu.

– Mój syn albo bratanek. Nie mam pojęcia. Boże, dopomóż mi. Nie mam pojęcia, ale go zabiłem.

Odszedł.

– Przykro mi – powtórzył Aethelstan, a w jego głosie po-brzmiewała taka sama rozpacz jak w słowach Finana. Patrzył na dym unoszący się nisko nad rzeką. – Przybyli nocą – powiedział. – Spostrzegliśmy się, dopiero kiedy ujrzeliśmy płomień. Przykro mi. Zawiodłem cię.

– Nie bądź głupcem – warknąłem. – Nie mogłeś powstrzymać tej floty! – Wskazałem zakole rzeki, gdzie ostatnie łodzie Króla Morza zniknęły za drzewami. Jeden z naszych statków

nagle się przechylił i rozległ się syk towarzyszący kłębom pary, które wymieszały się z dymem.

– Zamierzałem z nimi walczyć – powiedział Aethelstan.

– A zatem jesteś cholernym głupcem – rzuciłem.

Zmarszczył brwi, po czym wskazał na płonące łodzie i zarzęniętego wołu.

– Nie chciałem do tego dopuścić! – odparł.

– To ty wybierasz miejsce bitwy – odrzekłem szorstko. – Za murami nic ci nie groziło, po co więc tracić ludzi? Nie mogłeś powstrzymać tych statków. Poza tym oni chcieli, żebyście opuścili gród i z nimi walczyli, a nie jest rozsądne robić to, co jest na rękę wrogowi.

– To samo mu mówiłem, panie – wtrącił się Raedwald, starszy, rozważny Mercjanin, którego umieściłem w Brunanburh, żeby doradzał Aethelstanowi. Księżę dowodził garnizonem, ale był młody, więc przydzieliłem mu kilku starszych i mądrzejszych wojowników, żeby chronili go przed popełnianiem młodzieńczych błędów.

– Chcieli, żebyśmy opuścili warownię? – zapytał ze zdumieniem Aethelstan.

– A gdzie mieli większą szansę na zwycięstwo? Oblegając gród czy na otwartej przestrzeni, w starciu murów tarcz?

– To samo mu mówiłem, panie – powiedział Raedwald.

Nie zwracałem na niego uwagi.

– Sam wybieraj miejsce bitwy – burknąłem na Aethelstana. – Przestrzeń między uszami służy do tego, żebyś myślał! Jeśli będziesz atakował za każdym razem, gdy zobaczysz wroga, długo nie pożyjesz.

– To samo... – zaczął Raedwald.

– Wiem, mówiłeś mu to samo! A teraz zamilcz!

Spojrzałem na pustą rzekę. Ragnall poprowadził wojska do Brytanii, co jednak miał zamiar z nimi uczynić? Potrzebował ziemi, żeby wykarmić swoich ludzi, i warowni, żeby zapewnić im bezpieczeństwo. Minął Brunanburh czy jednak miał zamiar zawrócić i zaatakować Ceaster? Rzymskie mury czyniły z tego miasta doskonałą bazę, a jednocześnie trudną do pokonania przeszkodę. Dokąd więc zamierzał się udać?

– Ale ty właśnie to zrobiłeś. – Aethelstan przerwał tok moich myśli.

– Co zrobiłem?

– Zaatakowałeś wroga. – Spojrzał na mnie z oburzeniem. – Przed chwilą. Przeprowadziłeś szarżę ze wzgórze, mimo że mieli przewagę.

– Potrzebowałem jeńców, ty żalosna pokrako.

Chciałem się dowiedzieć, w jaki sposób Ragnallowi po ciemku udało się popłynąć w górę rzeki. Musiał mieć niewiarygodne szczęście, dzięki któremu jego olbrzymia flota bez szwanku pokonała muliste zakola Maerse, albo też był lepszym żeglarzem, niż uważano. Dokonał równie imponującego, co niepotrzebnego wyczynu. Miał potężną flotę, a my zaledwie kilkanaście łodzi. Mógł nas zmieść z powierzchni ziemi, nie wykonawszy nawet jednego uderzenia wiosł, a mimo to zdecydował się zaatakować w nocy. Dlaczego podjął takie ryzyko?

– Może nie chciał, żebyśmy zamknęli wejście do kanału? – zasugerował mój syn, i pewnie miał rację.

Gdyby ostrzeżono nas kilka godzin wcześniej, moglibyśmy zatopić nasze łodzie w głównym korycie rzeki. Ragnall koniec końców mógłby przepłynąć, ale musiałby czekać na przypływ, a jego najcięższe jednostki miałyby problem z pokonaniem barykady. My tymczasem moglibyśmy wysłać posłańców w górę rzeki, żeby na Maerse powstały kolejne barykady i więcej mo-

ich ludzi czekało na flotę nieprzyjaciela. On natomiast prześliznął się nam pod nosem, zadał nam ranę i wpłynął w głąb łądu.

– To Fryzowie – odezwał się smutnym tonem Aethelstan.

– Fryzowie?

– Zeszłej nocy przybyły trzy kupieckie statki, panie. Zakotwiczyły na rzece. Wiozły skóry z Dyflinu.

– Kazaleś je przeszukać?

Pokręcił głową.

– Powiedzieli, że załogę dotknęła zaraza.

– A więc nikt nie wszedł na ich pokład.

– Nie, panie, z obawy przed zarazą.

Garnizon w Brunanburh miał obowiązek przeprowadzić kontrolę każdej jednostki wpływającej na rzekę przede wszystkim po to, żeby pobrać myto za towar, nikt jednak nie wchodził na pokład statku dotkniętego zarazą.

– Powiedzieli, że wiozą skóry, panie – tłumaczył się Aethelstan. – Uiścili też należne opłaty.

– A ty pozwoliłeś im wpłynąć?

Pokiwał głową ze smutkiem. Resztę dopowiedzieli mi jeńcy. Trzy kupieckie statki rzuciły kotwice w miejscu, gdzie koryto Maerse było najwęższe i gdzie istniało największe niebezpieczeństwo wpłynięcia na mieliznę. Zapalili latarnie i nawigowali łodzie Ragnalla przez niebezpieczny odcinek. Reszty dokonał przyływ. Jeśli pozwoi się statkowi dryfować, zwykle będzie podążał najbardziej wartkim prądem w najgłębszym miejscu koryta rzecznego. Ragnall minął więc kupieckie jednostki i pozwolił, aby rzeka zaniósła je do naszej przystani. Następnie spalił nadbrzeże i łodzie, żeby jego okręty mogły bez przeszkód korzystać z rzeki. Teraz z jego morskiego królestwa mogły nadejść posiłki. Zniweczył naszą obronę Maerse i otworzył przed każdą armią wrota do Brytanii.

Jak Gra o tron, ale prawdziwa.

„THE OBSERVER”

**Bernard Cornwell tworzy najlepsze
sceny batalistyczne spośród wszystkich
pisarzy, których czytałem.**

GEORGE R.R. MARTIN

Dziewiąty tom bestsellerowej serii Bernarda Cornwella o losach bohaterskiego Uhtreda z Bebbanburga. Na jej podstawie BBC realizuje serial „Upadek królestwa”.

Pod rządami króla Edwarda i jego siostry Aethelflaed w Wessexie, Mercji i Anglii Wschodniej zapanował pokój. Jednak nic nie trwa wiecznie. Sprzymierzeni Norwegowie, Duńczycy i Irlandczycy zajmują żyzne ziemie i łupią bogate kościoły. Przewodzi im Ragnall Ivarson, który pragnie zostać królem całej Brytanii. Nikt lepiej od niego nie żegluje, nikt nie walczy równie zaciekle jak on, nikt nie budzi tak wielkiego przerażenia. I to Uhtred ma go pokonać...

Więcej o całej serii:

www.wojnywikingow.pl



WYDAWNICTWO
OTWARTE

